

WSPOMNIENIA

Wspomnienia ks. Wiktora Markiewicza¹

Mam opowiedzieć o swoim życiu kapłańskim, a szczególnie o mojej pracy na Ziemiach Zachodnich. Jeśli trzeba, opowiem.

Urodziłem się w dalekiej Odessie dnia 5 IX 1908 roku. Ojciec Franciszek był wygnańcem z ojczystego kraju, matka Jadwiga Zagrodzka. Rodzina wielodzietna. Byliśmy Polakami i czuliśmy się Polakami. Chciałem być w Polsce, ale granica była zamknięta i pilnie strzeżona. Mając 13 lat, postanowiłem z pięcioma kolegami przedrzeć się przez granicę. Nie było to łatwe, bo granica była pilnie strzeżona, a było to tym trudniejsze, że w tym czasie całe tysiące młodych Polaków usiłowało dostać się do ojczystego kraju.

Ucieczka udała się. Omal nie straciłem przy tym życia, ale ostatecznie skończyło się dobrze. Byłem w Polsce. Trzynastoletnim chłopakiem zaopiekowali się dobrzy ludzie. Potem wzięły mnie i wielu podobnych uciekinierów w opiekę władze państwowe. Umieszczono nas w bursie w Tarnopolu. Ukończyłem gimnazjum i studia teologiczne i 25 VI 1935 roku otrzymałem święcenia kapłańskie.

Przyszły lata kapłańskiego trudu. Wybuch ostatniej wojny zastał mnie w parafii Horyniec-Zdrój, dekanat lubaczowski, woj. lwowskie. W czerwcu 1945 roku rozpoczęła się repatriacja ludności polskiej na Zachód. Polacy musieli wyjeżdżać, mordowały ich bandy banderowskie. Większość parafian wyjechała w popłochu, garstka jeszcze została. Byli jeszcze wtedy u nas Niemcy. Dawali mi wagon, bym wyjeżdżał, zgadzali się, bym zabrał cenniejsze rzeczy kościelne, radzili się śpieszyć, bo zbliżała się armia radziecka. Nie skorzystałem z okazji

¹ Wspomnienia zostały opublikowane w: J. Anczarski, *Księża lwowscy w diecezji gorzowskiej*, 1988, s. 126-135 (maszynopis w posiadaniu redakcji).

wyjazdu. Powiedziałem im, że nie pojedę, jak długo są tam jeszcze moi ludzie. Wszak kapitan schodzi z tonącego statku ostatni. Nie podobało się im moje postępowanie. Wiedzieli, że jestem z Odessy. „Der ist von Odessa, der wartet...”.

Najgroźniejszy był czas, gdy Niemcy już wyjeżdżali, a radzieckich jeszcze nie było. Sierżant niemiecki opuszczający miejscowość informuje mnie, że droga obok kościoła i cmentarz przykościelny będą pod wielkim obstrzałem. Odpowiedziałem, że obok kościoła jest grób 16 Niemców. Nie mieli spokoju za życia i po śmierci rozrzucają ich ciała. Kapitan zmienił plan: kościół nie będzie zniszczony. Dowiaduje się także od sierżanta, że został podmieniony największy dom w Zdroju, wybudowany dla sierot. Proszę, by zaniechali wysadzenie tego domu. Nie dokonali tego.

Przyszła armia radziecka. Ludność otrzymuje rozkaz opuszczenia tych terenów. Podstawiono wagony. Rzeczy kościelne rozmieściłem w 14 pakach. Wagony towarowe, kryte, transport duży. Przerażeni ludzie, konie, bydło, ból, łzy, rozpacz ludzka, długa, długa jazda.

W Rawie Ruskiej granica. Chcę się dostać do Przemyśla, a później zobaczyć. Dojechałem do Przemyśla z bardzo ciężkimi przesiadkami, mamy przecież samych tylko kościelnych 14 dużych pak. Rzeczy zostawiam u franciszkanów.

Dowiaduję się, że na Zachodzie tworzy się na nowych terenach nowa organizacja kościelna. Wybieram Gorzów Wlkp., bo to największy teren i tam są największe potrzeby. Jest już wódz: Administrator Apostolski, ks. inf. Edmund Nowicki. Zupełny brak księży. Szukam kontaktu z administratorem diecezji. Jeszcze nie zdążył dojechać do Gorzowa, mieszka w Poznaniu. Ma objąć powierzone mu tereny 15 VIII 1945 roku.

Nowego pierwszego rządcę diecezji znajduję w jego pierwotnym mieszkaniu. Zastaję go przy wielkiej mapie terenów, które ma objąć w kościelne władanie. Ogromnie się rozradował, gdy mu powiedziałem, że zamierzam się osiedlić na terenie gorzowskim. On jest wprost przywalony ciężarem problemów, jakie spadły na jego głowę. Tereny ogromne, rozległe, szerokie i dalekie, blisko 2000 kościołów na tym terenie. Ale one są puste jeszcze i dopiero od niedawna transporty wysypują nowych osiedleńców na tych rozłogach. Puste ziemie poczynają się zaludniać. Osiedleńcy zajmują porzucone w popłochu miasta

i wioski, osiedla i domy. Ziemia w tym wielkim opustoszeniu, nieładzie, ruinach, pogorzeliśkach i zniszczeniu jest odrażająco obca i nieprzytulna. W szczególności sposób straszą w niej tereny, po których przetoczyła się zawierucha wojenna, pozostawiając po sobie ruiny i zgliszcza.

Ordynariusz gorzowski długo rozważa, dokąd mnie skierować. Wreszcie decyduje: pójdzie ksiądz do Królewca nad Odrą – Königsberg. Wiadome było, że tam jest już spora grupa ludności polskiej i że tam został jeszcze ksiądz niemiecki, proboszcz Müller. Pyta się mnie, czy godzę się na to? Jest mi wszystko jedno, nie znam terenu, nie wiem, gdzie to jest i co mnie tam czeka.

Otrzymuję odpowiedni dokument kościelny, upoważniający mnie do pracy na wyznaczonym terenie. Jestem dopiero trzecim księdzem, któremu administrator Nowicki udzielił jurysdykcji na swoim terenie. Z jego błogosławieństwem i małym podręcznym bagażem jadę w nieznaną do Königsbergu – Chojny nad Odrą.

Kolej jest obsługiwana już przez Polaków. Nasi kolejarze niezwykle szybko i pręźnie organizują kolej. Można już dojechać do różnych miejsc. Wprawdzie bardzo skomplikowane i niepewne są te podróże koleją, ale zawsze jest już jakaś komunikacja i wszędzie jakoś z przygodami nieraz można dojechać, biorąc pod uwagę, że różne trasy trzeba będzie pokonywać własnym przemysłem i przy różnych kombinacjach, biorąc pod uwagę i pokonywanie na pieszo różnych dłuższych lub krótszych odcinków drogi.

Jadę z Poznania do Koszalina, dalej zobaczymy. Wagony w stanie opłakanym, bez szyb, brudne, odrażające. Jazda bezpłatna na kartę ewakuacyjną. Dzień jest brzydki, szary, ponury dżdżysty. Przez dziury w oknach woda leje się strugami. Ludzi pełno, rozgwar, podniecenie. Rozmawiają o miejscach, do których jadą, udzielają sobie wzajemnie rad i wskazówek.

Dojeżdżamy do Łobezu. Pociąg się zatrzymuje. Słyszę rozmowy, że gdzieś wszystko byłoby dobrze, tylko nie ma kościoła. W miejscowościach bez księdza nie chcą się osiedlać na stałe.

Ludzie z pociągu wysiadają w Łobezie. Dowiedzieli się, że jestem księdzem. Zrobił się wokół mnie ruch. Nie puścimy księdza, ksiądz musi z nami pojechać. W naszej miejscowości jest kościół, jest plebania, wszystko księdzu urządzimy, wszystko przygotujemy, będzie księdzu u nas dobrze.

Bronię się jak mogę. Zasłaniam się zleceniem biskupa. Nie chcę o tym słyszeć. Ksiądz musi jechać z nami. Jeżeli nie chce, zabiorą go siłą. Są żołnierze wracający z Berlina. Walczyliśmy o Polskę, przelewaliśmy krew, ginęliśmy za naród, ksiądz nie może nie pojechać z nami.

Tłumaczę się, jak mogę. Wiecie, że nie mogę sam decydować o sobie. Jest władza kościelna, o proszę, mam dokument od biskupa, posyła mnie do Königsbergu, nie decyduję sam o sobie. Chwytają mnie za ramiona. Zabiorą księdza siłą. Apeluję do wojskowych, oni wiedzą, że ksiądz jest jak żołnierz, musi słuchać. Argument trafił do żołnierzy. Oni wiedzą: rozkaz to rozkaz. Stają po mojej stronie, wyzwalają mnie od rąk, które gwałtem chcą zabrać księdza ze sobą.

Ludzie wysiedli. Innym pociągiem jadę dalej. Jest noc i ciemno, zmęczenie podróży. Stacja: Trzcіńsko-Zdrój. Konduktor mówi, że koniec podróży. Pociąg dalej nie chodzi, zepsute tory. Ludzie wysiadają. Mieszkają w Trzcіńsku-Zdroju. Zabierają mnie ze sobą. Ksiądz zatrzyma się u nas. Jest kościół, jest nawet kościelny z jakiejś parafii ze Wschodu, ma nawet ze sobą paramenty kościelne. Prowadzą mnie do dużego czerwonego domu. To tu mieszka kościelny.

Jest północ. Pukamy do drzwi. Kto to? Mamy księdza. Wszyscy w domu podrywają się na nogi. Wiadomość ich zelektryzowała.

Nocuję. Przyjechałem w sobotę w nocy. Rano niedziela. Trzeba odprawić mszę św. Brak wina, brak hostii, brak komunikantów. Patrząc, nad oknem wiszą winogrona. Wyciskam dłonią sok winnej latorośli. Jest także pszenna mąka, pieczemy ciasto, cieniutko jak na herbatniki. Nożyczkami wycinamy hostię i komunikanty. Do mszy św. Wszystko jest gotowe.

Na dzwonnicy wisi dzwon. Ludzie chwytają za sznur. Dzwonią długo, radośnie. Dźwięki dzwonu elektryzują mieszkańców Trzcіńska-Zdroju. Początkowo nie wiedzą, co to jest, ale dzwon dzwoni długo, radośnie, przejmująco. Rozlatuje się radosna wieść: jest ksiądz. Będzie msza św.

Poczynają zbiegać się do kościoła. Naprawdę jest ksiądz. Naprawdę będzie msza św., ksiądz spadł im jak z nieba. Nie sądzili, że w tę niedzielę będzie tyle radości.

Kościół napelnił się ludźmi. Płaczą, płaczą z serdecznej radości. Ze szczęścia. Będą mieli mszę św.

Trzeba do nich przemówić. Opuścili domy rodzinne, opuścili swoją ziemię, opuścili groby swoich najbliższych. Mówię im: Opuściliśmy tamto. Opatrzność Boża postawiła nas na ziemiach naszych praojców. To nasza ziemia. To nasze dziedzictwo, Bóg nas nie opuści. Wyciszy się świat, do zgody przyjdą narody. Przyjdą dni spokoju i cichego trudu. Zarodzą ugory tej ziemi, odbudujemy zniszczenia. Wróci pokój na tę umęczoną ziemię. Nie lękajcie się. Będziecie mieli kościoły i kapłanów, wszystko będzie jak w miejscach, które trzeba było opuścić. Wróciliśmy na swoje, na dawne, na ojczyzniane, na nasze. To jest nasza ziemia. Wróciliśmy na nasze, na swoje i nikt nam tego nie odbierze. Nadeszła godzina sprawiedliwości dziejowej. Żał nam jednego, ale radujemy się drugim.

Na zakończenie: „Boże coś Polskę”. Jaka moc jest w śpiewaniu. Leci w niebo śpiewana modlitwa narodu, w której jest moc, nadzieja i zwycięstwo.

Po mszy św. otaczają mnie gromadą. Nie mogą napatrzeć się na księdza. Jest im taki bliski, taki serdeczny, taki swój. I znowu błagalna prośba: Ksiądz z nami zostanie. My księdza nie puścimy, księdzu będzie z nami dobrze.

Nazajutrz msza św. o godz. 7. Gromadzą się koło mnie, otaczają, dotykają księdza, jakby mieli obawę, czy to naprawdę ksiądz, a nie jakaś zjawa. Wchodzimy do kościoła. Krótka modlitwa, msza św. Trzeba jeszcze przemówić do tych ludzi, stęsknionych za kapłanem. Mówię: Przyjechaliśmy tutaj, rzuciliśmy nasze. Będziemy tu budowali naszą przyszłość. Nie wolno zniechęcać się niczym. Bóg będzie naszą pomocą i siłą. Odmawiamy: „Pod Twoją obronę uciekamy się św. Boża Rodzicielko...”, Matka Boża opieką otoczy swój naród. Śpiewamy „Matko Najświętsza do Serca Twego...”.

Po wyjściu z kościoła znów ludzie otoczyli mnie ciżbą. Garną się do mnie. Są dzieci i starsi. I znów te same błagania. Niech ksiądz nas nie opuszcza. Damy księdzu wszystko: damy cukier, masło i mleko, damy wszystko, czego ksiądz będzie potrzebował. Niech tylko ksiądz będzie z nami. Co będzie z nami bez księdza? Co z naszymi dziećmi? Kto je wychowa? Ksiądz musi być z nami. Idzie o nasze zbawienie.

Zgłaszają chorego. Jadę powózką jakieś 5 km. Po powrocie od chorego znowu te same bolesne prośby: Niech ksiądz nie zostawia nas samych. Tłumaczę, że muszę, ale wiercie, że przyjdzie czas, że dostaniecie księdza na stałe.

Odjeżdżam z trudem. Czepiają się powózki, biegną, płaczą. Żal mi ich. Wiem, że ich serca pełne są bólu.

Powózkę do Chojny dał pan Kamiński, osadnik wojskowy. Do Chojny jest 12 km piękną drogą lasem. Dojeżdżamy do Chojny. Ruiny, trudno przejechać drogą. Domy wypalone i rumowiska. Wrażenie przygniatające, przykre, bolesne. Patrzę, widzę wielki, potężny dzwon kościelny, wywalony, wrył się w ziemię. Przed oczyma wielka, potężna świątynia. Zostały z niej wysokie ściany i strzelająca w niebo bardzo wysoka wieżyca. Jak wspaniały musiał być ten kościół, gdy jego rozwalone mury tak silnie przemawiają do duszy człowieka. Straszna jest wojna w swoim niszczeniu. Urąga Bogu i ludziom, niszczy dobro i piękno i zostawia przerażające rumowiska.

Dojeżdżamy do budynków, które nie uległy zniszczeniu. Jest nawet mały, zgrabny kościół. Nawet katolicki. Ostał się wśród zniszczenia cały i nietknięty.

Chcę wysiąść przed kościołem. Woźnica zawozi mnie jednak do burmistrza. Burmistrz, wysoki blondyn, zdrowy i młody, wojskowy osadnik, chce mnie zatrzymać u siebie na jakieś dwa dni. W tym czasie wywieziemy na taczkach niemieckiego proboszcza za Odrę. Wstrząsnęły mną te słowa. Powiedziałem zdecydowanie: O nie, panowie, tak nie można.

A oni jacy byli? Co z nami robili? Wyrzucamy go bez pardonu. Oponuję: Nie zgodzę się na to. Jeśli wyrzucicie tego księdza, to i ja wyjadę. Przecież to ksiądz katolicki.

Musieli ustąpić. Księdza niemieckiego nie ruszą. Odprowadzają mnie na plebanię. Przedstawiam się ks. proboszczowi: mam dekret na proboszcza dla Polaków, parochus pro Polonis, on ma zostać proboszczem dla Niemców. Ks. Müller przyjął mnie grzecznie, dał posiłek, przygotował nocleg. W niedzielę podzieliliśmy się nabożeństwami. Mam mszę o godz. 9, o 7 jestem w konfesjonale.

Gromada ludzi do spowiedzi. Chyba nie wyspowiadam ich do wieczora. Spowiedzi trudne, z długich lat, nieraz pełne życiowych powikłań. Ks. Müller odprawia mszę św. Zbliża się Komunia. Patrzę, a wszyscy stojący w kolejce do spowiedzi, niewyspovidani jeszcze, ruszają gromadnie do Komunii św. Wstaję, by się zorientować, o co chodzi. Jestem wstrząśnięty. Po mszy św. księdza niemieckiego wychodzę na ambonę i mówię: Dopóki nie było księdza

polskiego i nie mogliście się spowiadać, bo nie znaliście języka niemieckiego, mogliście otrzymać rozgrzeszenie ogólne po wzbudzeniu żalu za grzechy. Teraz już nie możecie tak postępować. Wojna się skończyła. Czas we wszystkim wracać do życia normalnego. Będę spowiadał codziennie i każdy, kto zechce, będzie się mógł wyspowiadać.

Po czterech tygodniach niespokojnej pracy w Chojnie pojechałem do Dębna Lubuskiego przedstawić się tamtejszemu księdzu niemieckiemu, Hubertowi Młockowi. Zastałem go w łóżku, był ciężko chory, mało mówił, przygotowywał się do śmierci. Zrobił na mnie wrażenie pozytywne. Zaraz potem wybrałem się do kurii biskupiej w Gorzowie. Gdy wychodziłem po załatwieniu wszystkich spraw, przybiegł do mnie ks. kanclerz Jan Zaręba, późniejszy biskup włocławski, z wiadomością o śmierci ks. Młocka. Zmarł 12 XI 1945 roku. Ordynariusz deleguje mnie na pogrzeb jako swego delegata. W pogrzebie wzięli udział: ks. Müller, ks. Franciszek Sobolewski, starszy kapłan z diecezji lwowskiej, i ja. Na cmentarzu wygłosiłem przemówienie. Zmarły cieszył się opinią wzorowego kapłana.

Ordynariusz życzył sobie, bym po pogrzebie przyjechał do Gorzowa, zdał sprawozdanie z pogrzebu ks. Młocka i z sytuacji, jaka jest w Dębnie po jego śmierci. Po wysłuchaniu relacji prosił mnie, abym niezwłocznie przeniósł się do Dębna Lubuskiego. W Chojnie jeszcze ksiądz niemiecki, wprawdzie nie zna języka polskiego, ale mszę św. odprawi, pobłogosławi związek małżeński i pochowa zmarłych. W Dębnie i okolicy dalekiej nie ma żadnego kapłana. Obsadzenie tej placówki jest sprawą bardzo pilną. Otrzymałem dekret na Dębno.

Dębno Lubuskie liczyło już wtedy około 3000 ludzi, do tego dochodziła okolica i wciąż przybywały nowe transporty. Dla mnie nowy okres pracy. Kościołem parafialnym jest mały kościółek św. Antoniego, wybudowany przez ks. Młocka. Kościół ten na obecne potrzeby jest stanowczo zbyt mały. Był w mieście jeszcze drugi kościół przy rynku, poprotestancki, dużo większy, z dobrą plebanią, organistówką i ogrodem. Zachował się w stanie dobrym wewnątrz i na zewnątrz. Po wojnie służył celom świeckim. Po zorientowaniu się w sytuacji postanowiłem jak najspieszniej objąć ten kościół i przenieść do niego pracę parafialną.

Władze państwowe, w owym czasie bardzo życzliwe dla kościoła, oddały tę świątynię w użytkowanie bez najmniejszych trudności.

Natychmiast rozpocząłem pracę, by przygotować ten kościół do pełnej użyteczności katolickiej. Prac było bardzo dużo. Ludzie pomagali z zapałem i to zupełnie bezinteresownie. Opłacani byli tylko niemieccy rzemieślnicy.

W Dębnie pracowałem do końca maja 1946 roku. Najważniejszą pracą w tym czasie było wewnętrzne przebudowanie kościoła protestanckiego i dostosowanie go do kultu katolickiego. Przed świętami Bożego Narodzenia odbyło się bardzo uroczyste poświęcenie tego kościoła. W poświęceniu wzięło udział 11 różnych instytucji państwowych. Ludzi było bardzo dużo i radość w mieście była ogromna.

W kościele nie było żadnego instrumentu do grania na nabożeństwach. W jednym z opuszczonych i zrujnowanych kościołów 14 km od Dębna była duża fisharmonia. Przejąłem ten instrument dla naszego kościoła.

Ktoregoś dnia przyszedł do mnie bardzo zdenerwowany kierownik PUR, abym z nim pojechał na dworzec kolejowy. Ma wielki kłopot. Przyjechał nowy transport ludzi, dla których wyznaczono miejsce osiedlenia w okolicy. Tymczasem ludzie nie chcą opuścić pociągu, bo w miejscu wyznaczonym dla nich nie ma kościoła i księdza. W tej sprawie przyjechał nawet powiatowy starosta Kaczmarek. Transport ma być natychmiast rozładowany. Tymczasem ludzie się oparli i nie chcą wysiadać z braku kościoła i księdza. Błaga mnie, bym tych ludzi uspokoił, zachęcił i przekonał.

Pojechałem na stację, porozmawiałem z ludźmi, pocieszyłem ich. Upewniłem, że kościół na pewno ich nie opuści, zorganizuje religijną obsługę i zapewni regularne nabożeństwa. Moja interwencja okazała się skuteczna.

Duszpasterstwo w Dębnie było niesłychanie trudne. Prawie codziennie jeździłem rumakami do chorych. Nieraz nawet do kilku chorych, czasem do siedmiu-ośmiu chorych mieszkających na przestrzeni całych kilometrów. Parafia miała około 40 km średnicy.

Na drugi dzień Bożego Narodzenia jadę do Mieszkowic, 20 km koźmi, na godz. 16. Po mszy św. przychodzą ludzie w sprawie pogrzebu. Pogrzeb odbywa się przy świecach i latarkach. Po pogrzebie ludzie rozchodzą się do domów

i nie ma komu mnie odwiedzić. Teraz nikt nie pojedzie, bo jest noc, pustkowie i niebezpiecznie. Ja muszę być w domu. Zresztą ja jeszcze w tym dniu niczego nie jadłem. Proszę, by mnie odwiedziono przynajmniej do najbliższej miejscowości 6 km. Odwiedziono mnie. Znowu szukam furmanki. Podwieźli mnie kilka kilometrów. Dogonił nas traktor, zatrzymałem go i tak dojechałem do Dębna.

W Dębnie w tym dniu przed południem pobłogosławiłem małżeństwo. Oboje byli sierotami. Przed ślubem prosili mnie, żebym im zastąpił rodziców. W ich stronach był zwyczaj błogosławienia młodych przez rodziców. Przed ślubem przyszli do mnie do zakrystii, poklękali, ucałowali moje nogi i prosili o błogosławieństwo. Prosilili także, bym przyjechał do nich na wesele, choćby na krótko. Obiecałem w drodze wyjątku, gdyż myślałem, że z Mieszkowic wrócę około 19. Wróciłem przed 24. W Dębnie czekali na mój przyjazd. Musiałem do nich pojechać, mimo że byłem nieludzko zmęczony.

W Dębnie, mimo nawału pracy, zorganizowałem na Boże Narodzenie jasełka Rydla. Było to wielkie, bardzo wielkie przeżycie.

W Dębnie byli ludzie bardzo ofiarni i bardzo życzliwi. Czuję się wśród nich dobrze. Z pomocą Kościołowi szły w tym czasie wszystkie instytucje państwowe. O pomoc w zdobyciu księży dla różnych kościołów zwracali się do mnie różni przedstawiciele urzędów państwowych.

W Dębnie pracowałem do 31 V 1946 roku. Po Wielkanocy byłem w Gorzowie. Ordynariusz użalał się na brak księży. Ze wszystkich stron jest niekończące się wołanie o księży. Ostatnio zgłosili gotowość pracy na naszych terenach księża salezjanie. Może przyjechać cała grupa pod jednym warunkiem, że obejmą od razu cały dekanat. Najchętniej objęliby Dębno i okolice. Ale Dębno jest zajęte przez księdza. Co ja mam zrobić? – zapytał. Odpowiedziałem: Niech przyjadą, ja chętnie im ustąpię dla dobra diecezji. A co ja zrobię z księdzem? Pójdę tam, gdzie trzeba. Objął mnie ciepło. Ja księdzu tego nigdy nie zapomnę.

Po niedługim urlopie zostałem skierowany do Słupska dnia 1 VII 1946 roku. Miasto było już dosyć dobrze zaludnione: 40-50 000 mieszkańców. Zniszczony był stary rynek. Reszta miasta wyszła z wojny dosyć możliwie. Do odbudowy był wielki zabytkowy kościół Mariacki. Stały mury. Sklepienie było popękane, a w kilku miejscach dziurawe. Wieża kościoła strzaskana, kościół

bez drzwi i okien, wewnątrz wypalony, zniszczona posadzka. Byłem przysłany do pomocy ks. dziek. Chmielewskiemu, ale prawie cały ciężar budowy spadł na moje ramiona. Pracę nad odbudową tej świątyni rozpoczęto 7 IX 1947 – ukończono 23 XII 1947 roku. Odbudowa tej świątyni była chyba największym dziełem mego życia.

W olbrzymiej parafii pracowało czterech księży: ks. dziek. Chmielewski i ja, ks. Szmurło i ks. Gawrych. Dwaj pierwsi głównie byli zajęci duszpasterstwem parafii, dwaj drudzy nauczaniem religii.

Praca w Słupsku była ogromnie trudna. O godz. 6 trzeba być w konfesjonale. Nigdy nie szedłem spać przed godz. 24. Noce często były przerywane telefonami wzywającymi do szpitala. Upadałem z nadmiaru pracy. Na Boże Narodzenie w roku 1947 ochrzciliśmy 50 dzieci w dwóch grupach. Nazajutrz pobłogosławiłem 32 pary małżeńskie od godz. 14 do 18. Byłem niemal pijany od zmęczenia i zataczałem się. Do godz. 18 byłem na czczo. Proboszcz pilnował konfesjonału.

Po zakończeniu odbudowy kościoła Mariackiego powierzono mi pracę nad młodzieżą. Miałem do nauczania około 2000 młodzieży. Było sześć szkół, tygodniowo 38 do 40 godzin nauki religii w szkołach państwowych.

W międzyczasie zmieniło się nastawienie władz do Kościoła. W poście zorganizowano zabawę taneczną, dochód na kolonie letnie. Zabawa kompletnie się nie udała. Winę zwołano na księdza. Na trzeci dzień wymówiono mi pracę we wszystkich szkołach. Wymówienie bez uzasadnienia w marcu, a więc w ciągu roku.

W związku z tym zostałem przeniesiony na stanowisko proboszcza do parafii Trzebiecz. Do obsługi pięć kościołów. Znowu remonty, porządkowanie i przystosowywanie ich do katolickiego kultu. Po kilku latach pracy w Trzebieczu na wyraźne życzenie ks. bpa Benschka zostałem przeniesiony do nadmorskiej parafii Ustka. Praca bardzo trudna, do obsługi sześć kościołów filialnych w stanie dosyć nieciekawym. W roku 1958 z trzech kościołów filialnych utworzono nową samodzielną parafię.

W Ustce zdobyłem do pomocy parafialnej i katechetycznej siostry zakonne. Z prac remontowych: wybudowano dwie zakrystie przy prezbiterium kościoła, wprowadzono nową sieć elektryczną, uporządkowano plac przykościelny.

Nade wszystko jednak udało mi się wybudować wielki dom parafialny na sale katechetyczne i pomieszczenia mieszkalne. Po odbudowie kościoła Mariackiego w Słupsku było to drugie wielkie dzieło mego życia.

I tak przeszło moje kapłańskie życie w niekończącym się trudzie. Straciłem zdrowie i z resztkami sił i życia przeszedłem na własną prośbę w stan spoczynku w roku 1977.

The memoirs of Rev. Wiktor Markiewicz

Abstract

Rev. Wiktor Markiewicz was born 5 September 1908 in Odessa. He was ordained 25 June 1935 in Krakow. Following the forcible deportation in 1945, he came to the Recovered Territories in order to do pastoral work among the Poles who arrived from the Eastern Borderlands. And this period is covered in his memoirs, which were published by Rev. Józef Anczarski, *The Lviv Priests in the Diocese of Gorzów*, 1988, pp. 126-135 (the typescript is held in the editorial office).

Translated by Aneta Kiper